

Natalia Suska



BŁĘKITNY KRYSTAŁ

BookEdit

Natalia Suska

BŁĘKITNY KRYSZTAŁ

BookEdit

Copyright © Natalia Suska, 2026

Projekt okładki: Dawid Duszka

Grafika na okładce: www.magnific.com

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68750-52-2

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

DAWNO TEMU ZIEMIĘ zamieszkiwały zwierzęta i wszelkiego rodzaju rośliny. Wszystkie istoty żyły ze sobą w idealnej harmonii. W końcu bogowie, znudzeni tym widokiem, by uczynić świat ciekawszym miejscem, stworzyli ludzi na swoje podobieństwo.

Tak jak się spodziewali, ludzie żyli w spokoju, będąc częścią natury. Darzyli wszystkie stworzenia szacunkiem, dbali o każde zwierzę czy roślinę. Pełnili funkcję opiekunów natury. Bogowie byli zadowoleni ze swojego dzieła. Do czasu... Istoty ludzkie wypełnione były bowiem pychą i żądzą władzy. Z biegiem lat dwunodzy zaczęli niszczyć naturę i zabijać zwierzęta dla własnych korzyści. Bogowie postanowili więc ich ukarać. Zesłali huragan, by zniszczyć wioski oraz cały dobytek, by ludzie przekonali się o tym, że są tylko pionkami w boskiej grze.

Z ciemnych burzowych chmur wyłoniły się konie o ptasich skrzydłach, którym przeznaczono zadanie, aby zamiast ludzi strzegli wszelkiej przyrody. Ich sierść mieniła się srebrem, a delikatna złota grzywa błyszczała w słońcu. Dwunogie istoty bardzo się zdziwiły na ich widok i uważały ich za bogów o ciałach koni. Traktowali je zatem z czcią i szanowali, nie próbując oswoić ich dzikiej natury. Wręczali im dary w postaci owoców i kwiatów oraz modlili się do nich, oddając im należny szacunek. Mijały dekady, podczas których ludzie odbudowywali swoją cywilizację, żyjąc pod czujnymi oczyma skrzydlatych koni.

Po jakimś czasie jednak dwunodzy zapragnęli ujarzmić te zwierzęta. Wiedzieli, że człowiek, któremu to stworzenie stanie się posłuszne, zyska władzę i szacunek innych. Znalazło się więc kilku głupców spragnionych

władzy, próbujących okiełznać konie, ale boskie zwierzęta im na to nie pozwalały. Ludzie ci często ginęli tragiczną śmiercią.

Bogowie zobaczyli, że pegazy – bo tak nazwano te istoty – nie wystarczą, aby chronić naturę. Stworzyli kilka innych gatunków magicznych stworzeń. Ludzie nigdy się do nich nie zbliżyli. Aż do dzisiaj...

Rozdział I

500 lat później...

Daleko od ludzkich miast, na pewnej wyspie, o której istnieniu człowiek zapomniał, pegazy rasy shirokin żyły spokojnie nienękane przez nikogo. Wysepka, na której mieszkaly, nazywała się tak samo jak one. Otaczała ją plaża o żółtym piasku, w niektórych miejscach szeroka na kilka metrów, a w innych wąska tak, że jeden koń ledwo się mieścił. Na środku znajdowała się polana, która wiosną i latem usiana była kwiatami o różnobarwnych płatkach, a wokół niej rozciągał się las. Rosły tam brzozy, dęby, lipy, klony, sosny i świerki różnych wielkości, oraz drzewa owocowe i wiele innych roślin. Wyspę oprócz koni zamieszkiwały małe, typowe w takich lasach zwierzęta: wiewiórki, zające, myszy oraz kilka gatunków ptaków. W centrum znajdowało się spore jezioro, od którego odpływały w kierunku morza wąskie rzeki – dom kilku pomniejszych gatunków ryb.

Pegazy najczęściej się pasły albo biegały to tu, to tam. Głównie żywiły się trawą, bujnie porastającą wyspę, ale również nie gardziły owocami z drzew i licznych krzewów. Jednym słowem, prowadziły życie przepełnione spokojem i radością. Konie żyły w jednym gigantycznym stadzie w zgodzie i harmonii, ale mimo braku naturalnych wrogów na Shirokin wielu członków stada pomagało przywódcy czuwać nad pozostałymi. Czasem zdarzało się, że jakiś drapieżny ptak atakował małych mieszkańców wyspy, wtedy konie musiały go przepędzać lub po prostu wypatrywano ciemnych, burzowych chmur.

Właśnie trwała jesień. Piękna, złota jesień, którą pegazy uwielbiały. Zwłaszcza tę wczesną, kiedy liście jeszcze nie spadły z drzew, ale mieniły się wieloma odcieniami brązu, czerwieni i złota na tle czystego, błękitnego nieba. Wyspa znajdowała się na równiku i mimo że była połowa października, jesień dopiero niedawno się zaczęła. Zimą nigdy nie padał śnieg, a lato tutaj było czasem dość gorące. Zdarzały się dni tak upalne, że konie odpoczywały wtedy w lasach, które dawały przyjemny chłód, a na polanę wychodziły tylko wieczorami.

Dwie klacze pasły się niedaleko lasu, chrupiąc wczesnojesienną trawę. Jedna z nich podniosła łeb.

– Spójrz, Kiri! – powiedziała błękitna klacz do kasztanowatej przyjaciółki, obserwując stary dąb. – Liście już zmieniają kolor.

Tą błękitną klaczą była Tara, partnerka przywódcy stada, Juliana. Tak do końca to nie była błękitna, bo skrzydła miała granatowe, a grzywę i ogon złote. Jej ciało było delikatne i smukłe o niewielkich rozmiarach. Spodziewała się żrebięcia w połowie jesieni. Drugiego, bo pierworodny zginął kilka lat temu. Miał dopiero parę miesięcy, gdy któregoś feralnego dnia w tajemnicy przed rodzicami sam udał się wieczorową porą popływać w oceanie. Niestety dzień był wietrzny i pegaza porwała wysoka fala. Nie miał jeszcze tyle siły, by wydostać się na brzeg, a skrzydła w tym wieku były zbyt małe, aby go unieść. Jakże wielka była rozpacz Tary i Juliana, kiedy wyłowiono jego martwe ciało. Maluch zostałby w przyszłości wspaniałym przywódcą stada.

Narodziny żrebiąt były czymś, co shirokiny uwielbiały bardziej niż złotą porę roku. Zawsze z niecierpliwością czekały na noworodki. Teraz ma

przyjść na świat dziecko przywódcy, co jeszcze bardziej ekscytowało konie. Planowali ogromne przyjęcie na cześć nowego pegaziatka.

Na północ od polany, na której właśnie pasło się stado, znajdowała się skarpa, ukryta wśród brzózek najdalej wysunięta część wyspy, gdzie przywódca uwielbiał obserwować morze z daleka. Z tego miejsca dobrze było widać horyzont.

Pegaz Julian był ogierem silnym i postawnym w przeciwieństwie do swej partnerki. Był wysoki, co odziedziczył po swoim ojcu Ridzie, wielkim siwym shirokinie. Julian miał podobną maść, ale jego grzywa i ogon były kruczoczarne, a skrzydła miały kolor rdzy. Urodził się z takimi samymi oczyma, co jego tata – o głęboko granatowym kolorze.

Rida był sędziwym pegazem, chociaż przed nim jeszcze mnóstwo lat. Ta rasa była bowiem długowieczna. Shirokinie żyły znacznie dłużej niż zwykłe konie. Wiele z nich przeżyło nawet stare żółwie morskie.

Tego dnia Julian już jakiś czas wpatrywał się w dal z wyrazem zmieszania. Nagle obok przywódcy pojawił się skrzydlaty kot o białej, długiej sierści błyszczącej jak diamenty w świetle słońca i turkusowych oczach wyglądających jak dwa szkiełka. Dzień był chłodny, wietrzny, a chmury zwiastowały deszcz.

– Witaj, panie! – Koń aż się wzdrygnął, gdy usłyszał swego przyjaciela.

– Nikki, nie strasz mnie! – skarcił go.

Nikki był niczym ryś – potężny i silny. Na czubkach uszu rosły mu pędzelki. Był doradcą przywódców shirokinów. Właściwie to nie wiadomo było, ile ma lat. Z pewnością dużo, bo pamięta czasy starych królów stada.

– Coś cię trapi? – spytał Juliana. – Czyżby ta pogoda? Wygląda na to, że zbiera się na deszcz.

– Tam... coś płynie – powiedział do kota.

Nikki spojrział w morze z błogim uśmiechem na pysku. To, co zobaczył, zmieniło mu wyraz twarzy i zmienić miało życie stada na wiele następnych lat. Kot ujrzał niedaleko dwie galery zmierzające w kierunku wyspy. Statki były średniej wielkości, z zatknietymi flagami przedstawiającymi skrzydła tego, czarnego lwa na żółtym tle. Wiedział, co to może znaczyć. Cofnął się kilka kroków.

– Julian, nie jest dobrze! – Ton jego głosu był poważny.

Ogier nadal wpatrywał się w nieznane mu dziwne „stworzenia”. Shirokinie nie miały do czynienia z ludźmi, w przeciwieństwie do kota. Oczywiście statki nie były im obce, ponieważ na wyspie mieszkał zaprzyjaźniony marynarz posiadający taki okręt.

– Dlaczego? Coś nie tak? Co to za statki? Czyżby jakaś kompania Herberta?

Nikki wzbił się w powietrze.

– Nie! To ogromne niebezpieczeństwo. Uciekaj stąd razem ze stadem!

Koń prychnął z pogardą.

– Nie jesteśmy tchórzami! Cokolwiek to jest, poradzimy sobie z tym!

– To nie jest coś, z czym sobie poradzicie. Gdyby tak było, nie radziłbym wam opuścić wyspy. Uciekajcie stąd! – krzyknął kot. Julian odwrócił łeb, nie zważając na ostrzeżenia Nikkiego. – Proszę cię, uciekajcie!

Julian nie odpowiedział. Nikki zmrużył oczy.

– Dobrze jest doceniać wroga. – Odleciał.

Koń został sam. Jeszcze chwilę obserwował okręty. Nagle coś kazało mu się odwrócić. Ku swojemu przerażeniu zobaczył kolejny statek dobijający do brzegu po przeciwnej stronie wyspy. Zatrzepotał skrzydłami i wzniósł się w powietrze. Co to takiego? – zastanawiał się.

Gdy doleciał na przeciwległy kraniec wyspy, zobaczył kilka dziwnych stworzeń, które wydawały się być tego samego gatunku co Herbert. Nikki kiedyś o nich opowiadał. Według niego były to krwiożercze istoty pragnące władzy za wszelką cenę. Ci nie wyglądali na takich, raczej na słabych

i kruchych. Trochę różniły się wyglądem od marynarza, miały ciemną skórę oraz białe włosy. Ubrane były w jakieś skórzane pancerze. Zdziwiło go to i przstraszyło, że ludzie siedzieli na jego bezskrzydłych krewnych. Czemu te konie na to pozwalały?

Jeden z dwunogich krzyknął coś w nieznanym shirokinowi języku i jeźdźcy się rozproszyli. Julian zobaczył, że te istoty zaczynają pętać jego braci linami. Wiedział już, że mają złe zamiary, ale mimo wszystko przepełniała go nadzieja, że pojawienie się przywódcy doda jego podwładnym odwagi i przegnają ludzi. Ogier wylądował na skale.

– Jestem wśród was, razem ich wypędzimy! Jesteśmy silniejsi!

Niestety, ogier nie wiedział o tym, że ich wrogowie posługują się łukami, mieczami, pikami oraz toporami. Wzbił się w powietrze i leciał z zawrotną prędkością na człowieka siedzącego na wysokim, gniadym koniu. Nim doleciał, rumak stanął dęba, a jeździec strzelił w nogę ogiera z tego dziwnego przedmiotu zwanego łukiem. Pegaz poczuł ostry ból w miejscu, gdzie nogę z szybkością błyskawicy przebiła strzała, i stanął przed człowiekiem jak sparalizowany, starając się odciążyć kończynę. Co się stało? Czy to były jakieś czary?

Ludzie natychmiast schwytali przerażonego konia, zarzucając mu na szyję liny. Julian jeszcze chwilę walczył, rzucał się i kopał powietrze, próbując uwolnić się z powrozów, ale tylko na darmo się męczył. Kiedy upadł na ziemię, utraciwszy siły, dwunodzy związali mu skrzydła. Był zdenerwowany na nich i na siebie. Trzeba było posłuchać Nikkiego. Jego dusza rwała się na pomoc stada, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Nagle przyszła mu do głowy myśl: Tara! Gdzie ona jest? Nie widziałem jej. Mam nadzieję, że się ukryła. Że wyczuła niebezpieczeństwo. Wtedy ją zobaczył. Delikatną, błękitną i piękną, ukrytą w zagajniku sosen oddalonych o wiele metrów od Juliana. Na jej pysku malowało się przerażenie i smutek. Ogier głośno zarżał, każąc jej uciekać, ona chwilę się wahała, po czym odpowiedziała mu cichym ni to parsknięciem, ni to rżeniem, co zapewne oznaczało: „Żegnaj”, i ze łzami w oczach odbiegła.

– Wybacz – powiedział bardziej do siebie.

Wokół widział już tylko ludzi na koniach prowadzących jego schwytyanych pobratymców. Prowadzili ich w głąb wyspy, a nie na statki, co zdziwiło przywódcę. Ale gdzie Nikki? Czy jego też złapali, czy już wtedy uciekł? Julian nie widział go od tamtej rozmowy. Jeśli to w ogóle można nazwać rozmową. Nikki lepiej znał ludzi, w końcu żył o wiele dłużej i kilku z nich poznał osobiście. Wiedział, że lepiej uciec niż zaryzykować walkę z nimi, ale ogier go nie posłuchał. Gdyby nie był taki dumny i uparty, to teraz pewnie lecieliby nad morzem w kierunku jakiejś małej wysepki, aby przeczekać natarcie. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że jest tym mądrym przywódcą stada shirokinów i zabrał podwładnych z dala od rodzinnej wyspy. Niestety, jest tylko głupim pegazem Julianem, przez którego stado zostało schwytane, a on sam nie zasługuje na tytuł przywódcy. Zasłużył na śmierć zaraz po tym, jak uratuje przyjaciół. Ale jeszcze przez jakiś czas nie mógł nic zrobić: nadal był bardzo zmęczony i obolały. Nadal leżał w tym samym miejscu. Jeźdźcy stali nad nim, trzymając powrozy, których drugie końce oplątywały szyję ogiera. Zamknął oczy, jednak po chwili otworzył je, słysząc tupanie ciężkich kopyt. Ktoś podszedł do niego i rzekł grubym, chrapliwym głosem:

– Witaj, Julianie.

Tymczasem Tara galopowała, chcąc wzbić się w niebo. Nagle za nią wybiegł jeździec, trzymając w ręce sznur. Drugi jeździec pojawił się przed nią znikąd i galopował prosto na kłacz. W pewnym momencie pegazica uniosła się na skrzydłach. Jeźdźcy się zatrzymali, a jeden z nich sięgnął za plecy i złapał za łuk, nakładając nań strzałę. Wypuścił ją, a ta świsnęła obok nogi kłaczy. Tara oddalała się z wyspy, co chwilę oglądając się za siebie na ukochane miejsce. Teraz było atakowane, a ona nigdy już nie miała go zobaczyć. Pogoda nie pomagała w ucieczce. Porywisty wiatr przeszkadzał w locie. Nagle zaczęło kropić.

W końcu wieczorem z przemoczonymi skrzydłami z ledwością doleciała na brzeg stałego lądu, którego shirokiny nie znały i nazywały Dzikim Światem. Mało pegazów odwiedziło to miejsce. Tam wyczerpana klacz wylądowała na plaży rozciągającej się na wiele kilometrów. Właściwie wszędzie wokół była plaża o złotym piasku z wydmmami i nieco suchymi roślinami. Były tam też brązowe skały o różnorakich wielkościach i kształtach. Ukryła się pod jedną z nich i, szlochając, powoli zasnęła pogrążona w błogich snach o ukochanej wyspie.

Kolejne dni upływały jej na poszukiwaniach jakiegokolwiek stada dzikich koni. Przecież zwierzak, nawet taki ze skrzydłami, sam sobie nie poradzi w miejscu, gdzie ze wszystkich stron mogą czaić się drapieżki. Mijały długie dni bezowocnych poszukiwań. Piętnastego dnia, straciwszy nadzieję, osunęła się na ziemię i zasnęła, czekając na śmierć. Nie wiedziała, że doleciała aż za las Ochir na ogromną, skąpaną w blasku słońca polanę, prawie w centrum kontynentu Dzikiego Świata. Było to terytorium jednego z ostatnich stad dzikich koni nieudomowionych przez człowieka. Klacz leżała na ziemi z zamkniętymi oczyma jak martwa. Tak znalazła ją gniada kobyłka i jej partner o maści palomino. Gniadoszka schyliła łeb i powąchała nieznajomą. Tara otworzyła oczy i podniosła się.

– Kim jesteś i skąd przybywasz? – odezwał się ogier.

– Mam na imię Tara. Szukam pomocy i schronienia.

– Nie jesteś koniem jak my, masz skrzydła! Nie wiemy nic o tobie. Może zamierzasz narazić nasze stado na niebezpieczeństwo – dodała jego towarzyszką.

– Wytłumaczę wam to, ale proszę, dajcie mi schronienie, nie mam już siły na dalszą wędrówkę. Niedługo urodzę źrebię. Och... – Pegazica straciła przytomność. Po chwili się obudziła. Ogier pochylił się nad nią.

– Niech ci będzie. Zaprowadzimy cię do naszego stada. – Tara wstała i przytuliła ich. – Tak w ogóle to ja jestem Winnor, przywódca stada, a to jest Nida. – Wskazał na towarzyszkę. – Moja partnerka.

Nowo poznani towarzysze powoli zaprowadzili ją do swego stada. Nazywało się stadem Gniadoszy i składało się z około dwudziestu członków.

Ich terytorium rozciągało się na dziesiątki kilometrów. Była to ogromna polana z niewielkim jeziorem otoczonym kilkoma drzewami. Około pół kilometra na zachód od zbiornika rosła wielka płacząca wierzba. Pegazica została ciepło przyjęta przez konie.

Gdy Tara odleciała z wyspy, władzę nad shirokinami całkowicie przejął centaur imieniem Yaro, który wraz ze swoimi sługami, białymi jeźdźcami, troglodytami uzbrojonymi w piki oraz z większą grupą niewielkich diablików uwięził w ogromnej stalowej klatce wszystkie pegazy. Klatkę ów stworzył za pomocą magii. Co chwilę dobiegały zza niej pretensjonalne i histeryczne krzyki uwięzionych koni. Tyran zwrócił się w końcu do przywódcy białowłosych jeźdźców:

– Wok, chodź tu do mnie!

Wyżej wspomniany dowódca zszedł ze swojego ciemnogniadego rumaka i oddał pokłon centaurowi.

– Tak, panie?

– Zbierz wszystkich swoich ludzi, wsiadajcie z powrotem na statek i wracajcie do Koumoriego.

Wok wstał zdumiony tym, co usłyszał.

– Jak to? Nie będziemy już potrzebni?

– To rozkaz samego Koumoriego. Macie wracać! – Yaro zirytował.

– Tak jest! – Człowiek zasalutował i udał się do reszty dwunogich.

Nowy władca wyspy zwołał swych pozostałych sługusów.

– Dobra, oto wasze zadania. Troglodyci mają patrolować wyspę i strzec jej. Kilku ma zostać tutaj. Już, ruszajcie! – Stwory odeszły w różne części wyspy. – Jeśli chodzi o diabliki – podrapał się w ramię – najpierw macie rozpocząć pracę nad budową mojej bazy, a potem zaczniecie poszukiwania tego drogiego kruszcu, po który wysłał nas tu Koumori.

Tarze podobało się w nowym stadzie, ale życie tutaj trochę różniło się od tego na wyspie Shirokin. Tam pegazy nie musiały się martwić tym, że zaatakują ich puma czy wilk, bo po prostu ich tam nie było. W stadzie dzikich koni sprawy układały się inaczej. Nie było tu miejsca na samotne zabawy źrebiąt z dala od dorosłych zwierząt, a nad stadem wciąż ktoś czuwał.

Nida nie pytała Tary o jej pochodzenie. Na pewno pegazica nie miała jeszcze ochoty na rozmowę o tym, lecz po kilkunastu dniach ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Upewniła się, że nikt ich nie usłyszy i zaczęła:

– Powiesz mi w końcu, kim jesteś?

Pegazica przerwała skubanie trawy zaskoczona tym pytaniem.

– Przecież mówiłam. Jestem koniem, tylko z jakiegoś powodu urosły mi te dziwne skrzydła i... – zaczęła zdenerwowana.

– Nie kłam! – przerwała gniadoszka. – Dziadek opowiadał mi historie o dziwnych koniach, które posiadały skrzydła, nazywanych pegazami. Założę się, że jesteś jednym z nich. Mnie możesz powiedzieć, nikomu się nie wygadać.

– Ech... jestem pegazem – przyznała szeptem. – Ale nie mów nikomu, to bardzo ważne!

– Dobrze, ode mnie nikt się nie dowie. – Uśmiechnęła się i trąciła ją w bok. – Fajnie, myślałam, że istniejecie tylko w opowieściach. Nie sądziłam, że będę kiedyś z jednym z nich rozmawiać. Opowiesz mi więcej o sobie?

– Nie mogę, Nida, proszę cię. Nie zmuszaj mnie do tego. Nie chcę do tego wracać.

Gniada klacz podeszła do niej.

– Proszę, bardzo bym chciała wiedzieć. Nie bój się, możesz mi zaufać. – Nida podniosła kopyto. – Przysięgam, że zostanie to między nami!

Po wielu prośbach Tara w końcu się przełamała i opowiedziała Nidzie swoją historię.

– Ojej. Przykro mi, że straciłaś swoje stado, swoją rodzinę. Mam nadzieję, że chociaż w części ci ją zastąpimy – stwierdziła ciepło gniada klacz. Tara się do niej przytuliła.

– Dziękuję.

Rozdział II

MINĘŁY DWA TYGODNIE, odkąd Tara zamieszkała wśród Gniadoszy. Przyjaźń między nią a Nidą się zacieśniała, a fakt o swoim pochodzeniu starała się trzymać w tajemnicy przed pozostałymi końmi.

Było pochmurne, chłodne popołudnie. Gniada kłacz odpoczywała, skubiąc śniadanie, a jej skrzydlata przyjaciółka ucięła sobie drzemkę. Trawa, którą posilała się młoda kobyła, była soczysta i słodka. W pewnym momencie Nida przerwała jedzenie i spojrzała na Tarę, która mamrotała coś i poruszała powiekami. Jej mięśnie drżały. Pewnie śni jej się coś bardzo złego – pomyślała gniadoszka.

Tarze śniły się wydarzenia z wyspy. Znowu widziała, jak ludzie pętają jej pobratymców, ale tym razem była wśród nich. Na szyi zawieszono jej sznur. Pegazica zaczęła szarpać się i miotać. W końcu nad jej grzbietem świsnął bat i zadał jej straszliwy ból. Krzyknęła. Wtedy się obudziła. Nida, równie mocno przerażona, aż odskoczyła. Był 14 listopada wczesnym rankiem. Dziś obchodzono święto bogini Octavii. Wierzono, że to ona jest najważniejsza wśród bogów i panuje nad wszystkim, co żyje.

– Wystraszyłaś mnie swoim krzykiem – rzekła Nida. – Co ci się takiego śniło? – spytała lekko zaciekawiona. – Pewnie jakiś koszmar.

Tara cała mokra od potu wpatrywała się w nią wystraszonym wzrokiem.

– Bez znaczenia. To był tylko zły sen.

Gniada kobyłka spojrzała na jej okrągły brzuch, po czym przerzuciła na nią wzrok.

– To już lada dzień. – Kłacz się uśmiechnęły.

Tara nie mogła się doczekać przyjścia na świat dziecka. Jednak robiło jej się przykro na myśl o tym, że Julian i reszta shirokinów nie zobaczy, jak dorasta. Już raczej nigdy go nie zobaczy.

– Chodźmy do jeziora, pić mi się chce. Tobie pewnie też – rzekła Nida. Tara jej przytaknęła i poszły w stronę pobliskiego jeziora.

Dzień był całkiem ciepły jak na tę porę roku. Na niebie dało się dostrzec tylko kilka chmur, których nie poruszał nawet najmniejszy podmuch wiatru. Drzewa na terytorium Gniadoszy stały się lyse, teraz prawie zupełnie pozbawione liści. Wyglądały jak stare i upiorne drzewa otaczające jakiś nawiedzony zamek. Na wschód od polany rósł las Ochir, zajmujący sporą przestrzeń, rozciągał się na kilka kilometrów. Był lasem mieszanym, który zamieszkiwany był przez niewielkie królestwo leśnych zwierząt. Podobno widziano też tutaj małe stado Wielkich Wilków. Las był stary. Rósł już, zanim pojawili się tu pierwsi ludzie, i pewnie będzie rósł, kiedy dwunożni znikną z tego świata.

Przyjaciółki doszły do niewielkiego jeziora bez nazwy w kształcie serca. Ale nie takiego serca, jakie dostajemy na walentynki, tylko takiego prawdziwego, które jest w naszym ciele. Wodę otaczały różne gatunki krzewów, chwastów i dęb. Wydawało się, że wielkie drzewo to upiór, którego łapczywe palce chcą pochwycić każdego, kto stamtąd pije. Konie pochyliły łby i napiły się chłodnej wody. Przed pyskiem Tary zachlupotała mała rybka. Nagle usłyszały za sobą tętent kopyt.

– Witajcie, dziewczyny! – Klacze się obróciły. Podszedł do nich dumny ogier palomino, Winnor. Zwrócił się do Tary: – Z okazji dzisiejszego święta wieczorem odbędą się śpiewy.

– Śpiewy? – zdziwiła się.

– Tak jak co roku będziemy za ich pomocą składać hołd Octavii. Wy tak nie robiliście w twoim stadzie?

– Yyy... my organizowaliśmy różne zabawy i wyścigi.

– Świetnie! Może wprowadzę tę tradycję! – Winnor uśmiechnął się, po czym spojrzał na Nidę. – Poza tym wyruszam za chwilę na terytorium stada Srokaczy razem z naszymi dwoma zwiadowcami. Chcemy zawrzeć sojusz. Liczymy, że się uda.

Obrócił się.

– Zaczekaj, pójdę z tobą! – krzyknęła jego partnerka.

– Nie, lepiej, żebyś się nie narażała w takim stanie. Lecę! Wrócimy do wieczora i zaczniemy świętowanie. To pa! – Odgalopował.

Tara stała zdziwiona, patrząc najpierw na oddalającego się ogiera, a potem na przyjaciółkę.

– Jak to „w takim stanie”?

– Ech, no, chciałam z tym trochę poczekać, zanim ci powiem. Ja i Winnor spodziewamy się źrebięcia. – Zaśmiała się.

Skrzydłata kobyła uśmiechnęła się, podbiegła do klaczy i przytuliła ją.

– Moja droga, tak się cieszę! Będziemy razem wychowywać swoje maluchy!

Nagle pegazica osunęła się na trawę, wijąc się z bólu.

– Co się dzieje? – Tara nie odpowiadała. – Pomocy! – krzyczała gniadoszka. – Niech ktoś nam pomoże!

Lecz Tara natychmiast powiedziała zachrypniętym głosem:

– Nie, to nic złego.

To nie uspokoiło partnerki dowódcy stada.

– Powiedz mi, co się dzieje!

Błękitna klacz dała za wygraną.

– Ja po prostu rodzę!

Nida się nie odezwała. Westchnęła z ulgą, położyła się obok przyjaciółki i oczekiwała narodzin malca. Tak minęły długie, bolesne godziny w jękach i rzeniu, aż w końcu na świat przyszło małe źrebiątko. Była to śliczna klaczka o srebrnej sierści, rudej grzywie i ogonie oraz złotych oczach i kopytach. Bursztynowe skrzydelka miała zwinięte wokół siebie. Tak rodziły się pegazy – chroniło to przed połamaniem małych nóżek w trakcie porodu. Tara dotknęła chrapami jej pyszczka.

– Cześć, malutka. Jestem twoją mamą – wyszeptała.

Nida wstała i pochyliła się nad maleństwem.

– Witaj na świecie!

Konie, będące akurat w pobliżu, także podeszły się przywitać.

– Śliczna!

– Piękna! Słodkie maleństwo!

– Dużo zdrowia dla was!

– Wymyśliłaś już jakieś imię? – wtrąciła jedna z klaczy.

Tara zamyśliła się.

– Tak, moja babcia miała na imię Kami. Była bardzo podobna, więc niech tak będzie!

Winnor i jego dwaj towarzysze wrócili, gdy zaczęło się ściemniać. Tara z radością przedstawiła przywódcy swoją nowo narodzoną córkę. Potem wszystkie konie ze stada zebrały się niedaleko jeziora-serca i rozpoczęły świętowanie. Śpiewom i zabawom nie było końca. W centrum uwagi była mała Kami, gdyż wierzono, że jej narodziny, które nastąpiły akurat tego dnia, to jakiś znak od ich bogini.

Od tego dnia minęły 3 lata. Kami dorastała szczęśliwie pod okiem swojej mamy Tary. Srokacze nie zawarły sojuszu ze stadem Gniadoszy – wręcz przeciwnie. Jego członkowie stali się jeszcze bardziej wrogo nastawieni niż kiedykolwiek. Winnor i Nida wiedli spokojne życie jako przywódcy. Ich syn, kasztanowaty ogier Will, za kilka lat przejmie po nich dowództwo.

Kami nie rozumiała, dlaczego dorasta wolniej niż inne żrebaki. Mimo wieku dorosłego konia wyglądała jak półroczne zwierzę. Matka nie powiedziała jej, kim są. Nie chciała, aby jej córka w przyszłości zbliżała się do wyspy.

Tak nasze dwie klacze pędziły spokojne i bez troskie życie przez wiele lat. Srebrna młoda pegazica nie miała żadnych przyjaciół wśród koni w stadzie. Bo przecież oni zaraz umierają, a ona będzie żyła jeszcze długo po nich. Nawet Tara miała jeszcze wiele pokoleń życia przed sobą. Nie pragnęła, by klaczka szukała towarzystwa wśród tego stada. Nie chciała, aby była przy śmierci swoich przyjaciół. Sama popełniła błąd, przyjażniąc się z Nidą. Za bardzo martwiła się o córkę, nie pozwalała jej się zbyt od siebie oddalać. Straciła swoich bliskich, została jej tylko Kami, więc z przesadną troską się nią opiekowała. Małą pegazicę denerwowało takie zachowanie matki. Czasem próbowała ją przekonać, że nie musi jej tak traktować, ale na Tarę to nie działało. Jednak gdy starsza klacz drzemała, Kami radośnie galopowała po polanie, ścigając się z motylami i ptakami.

W końcu Tara cudem wysłała córkę do szkółki i to tylko dlatego, że sama uczyła żrebaki na zmianę z pewną białą klaczą, więc nawet wtedy mogła mieć Kami na oku. Szkołka znajdowała się pod gałęziami ogromnej, płaczącej wierzby. Chodziły do niej wszystkie żrebaki ze stada, teraz siedem różnej maści koników. Uczyły się funkcjonowania w stadzie, historii, biologii i samoobrony. Inne żrebaki nie przepadały za swoją koleżanką. Niektóre zazdrościły jej skrzydeł, a inne śmiały się z jej powolnego rozwoju. Wszyscy myśleli, że jest upośledzona i przez to nie rośnie prawie w ogóle. Prawda była jednak zupełnie inna.

Pewnego dnia w szkole.

– Kochani, kto mi powie, jak najlepiej obronić się przed wilkami? – spytała nauczycielka, biała klacz imieniem Sonia.

Jedna z klaczek się zgłosiła:

– Każdy wie, że najlepiej być wśród wielkiego stada. Samotny koń ma przekichane.

– Taa, albo można być Kami i zwać im na skrzydłach! – odezwał się kary ogierek.

Reszta klasy zaczęła krzyczeć.

– Ona przecież nawet nie potrafi latać!

– Sierota!

– Odmieniec!

– Ona i jej matka nie są stąd!

– Po co jej skrzydła, skoro nie potrafi na nich latać?

Kami położyła uszy po sobie i spuściła łeb.

– Niedorozwój! – Ten sam kary ogierek zaczął się śmiać, po czym biała klacz zdzieliła go kopytem.

– Spokój! Myślicie, że jesteście zabawni? Jesteście po prostu o nią zazdrośni!

– O co mielibyśmy być zazdrośni? – zapytał mały konik.

– Ech... sami sobie na to odpowiedzcie! – Rozsunęła gałęzie wierzby. – Koniec lekcji, idźcie!

Żrebaki z radosnym krzykiem wybiegły na zewnątrz. Ostatnia szła Kami, jednak biała klacz zagrodziła jej wyjście swoim ciałem.

– Zostań chwilę, Kami. Chciałabym z tobą porozmawiać. – Nauczycielka skrobnęła coś na korze drzewa i ponownie zwróciła się do uczennicy. – Nie przejmuj się tym, co oni gadają. Są zazdrośni i tyle!

Kami przygryzła wargę.

– Nie przejmuję się tym, proszę pani, ale...

Sonia odsunęła gałęzie.

– Chodź.

Srebrna pegazica i nauczycielka wyszły. Słońce już chyliło się ku zachodowi, więc trawa i cała pozostała zieleń wokół nabierały odcieni złota i czerwieni. Obie klacze poszły na spacer w kierunku jeziora – Serca.

– Powiedz, proszę, co cię trapi?

Kami się lekko zarumieniła.

– Nie, nie chcę zawracać pani głowy.

– Jestem twoją nauczycielką i przyjaciółką twojej mamy. To znaczy, staram się. Mnie możesz powiedzieć.

Młoda pegazica się nie odezwała. Po chwili doszły do jeziora. Sonia zaprowadziła Kami nad jego brzeg.

– Urodziłaś się w święto Octavii. Co to oznacza?

Mała klacz przewróciła oczyma.

– Że podobno jestem pobłogosławiona przez naszą boginię – powiedziała.

– Właśnie.

Pegazica się zaczerwieniła i uśmiechnęła.

– Ale jestem dziwna... Nawet nie wiem, kim jesteśmy, ja i mama.

Klacz na nią spojrzała.

– Twoja mama nalegała, aby ci tego nie mówić. Ech, mnie nie było jeszcze na tym świecie. Twoja mama, nosząc cię w brzuchu, przyleciała tutaj z jakiejś wyspy, która została zaatakowana przez dziwne stworzenia. Twój ojciec kazał jej uciekać jak najdalej. Nie wspomniała, jak nazywała się owa wyspa ani gdzie się znajduje, nie chce, abyś narażała się na niebezpieczeństwo, szukając jej.

– Dla niej wszystko jest niebezpieczne!

– Kochanie, ona się tylko o ciebie martwi.

Kami odsunęła się od Sonii.

– I tak w końcu się dowiem i odnajdę to miejsce, z mamą lub bez! – Chciała już odbiec, lecz klacz ją zawołała.

– Poczekaj! Znasz Nidę?

– Oczywiście, to przecież partnerka przywódcy... i przyjaźni się z moją mamą.

Sonia potrząsnęła łbem.

– Tak, od niej dowiesz się więcej, ale lepiej, żeby nikt was nie słyszał.

Kami stanęła dęba.

– Dziękuję pani! Do widzenia!

Popędziła cwałem w stronę stada. Ujrzała z daleka gniadą klacz pasącą się w skąpanej w złocie trawie. Zatrzymała się przed nią, a ta uniosła łeb.

– Pani Nido, pani Nido!

– Hmm...?

Pegazica ściszyła głos do szeptu.

– Mogłaby pani ze mną porozmawiać?

– Jasne!

Poszły kilka kroków dalej. Będąc na miejscu, Nida spytała:

– Coś się stało, Kami?

– Błagam, niech pani opowie mi o miejscu, skąd przybyła moja mama. – Kami wlepiała w nią podekscytowane spojrzenie.

– Co? Nie mogę.

– Błagam panią! – Podeszła do klaczy.

– Twoja matka mnie zabije! Nie powinnam...

Mała klacz nie dawała za wygraną.

– Proszę, nie dowie się. Przysięgam, że nic jej nie powiem.

– No nie wiem... Ale obiecaj, że nie będziesz szukać tego miejsca!

– Obiecuję! – Skoczyła w miejscu z radości i dodała w myślach: Na razie.

– A coś już wiesz? – spytała starsza klacz.

– Niewiele, tylko to, że to wyspa, że została zaatakowana i że mama z niej uciekła.

Nida spojrzała w niebo.

– Powiedziała mi, że przyleciała tu z wyspy Shirokin, znajdującej się na wschód stąd. Tak samo nazywa się wasza rasa.

Kami wytrzeszczyła oczy.

– Jacie...!

– To tyle. Ale pamiętaj, że coś obiecałaś!

– Wiem, wiem. Ale jeszcze jedną rzecz bym chciała wiedzieć.

– Co takiego? – zaciekawiła się Nida.

– Dlaczego tak powoli rosnę?

Klacz westchnęła.

– Twoja mama mówiła, że wasza rasa, shirokin, żyje bardzo długo. Kilka-krotnie dłużej niż my. Nasze życie już przeminie, a wy dopiero dorośnięcie.

– Och, to znaczy, że pani... i pani Sonia umrzecie, zanim dorosnę? – Do jej oczu napłynęły łzy.

– Niestety na to wygląda. Ale do tego jeszcze mnóstwo czasu!

Kami przetarła oczy pięciną.

– Bardzo pani dziękuję! Wiem już wszystko, co jest mi potrzebne.

Nida zmrużyła oczy.

– Potrzebne?

– Och, źle to określiłam. Po prostu tyle chciałam się dowiedzieć o moich korzeniach – poprawiła. – Pa pa! – Pogalopowała w poszukiwaniu swojej mamy.

– Pa... – powiedziała gniadoszka jakby do siebie pełnym zwątpienia głosem i wróciła do jedzenia trawy.

Po drodze Kami wspięła się na wysokie wzgórze i spojrzała na wschód. Jej oczom ukazały się dalekie lasy, pola i łąki.

– Jak dorosnę, to cię znajdę, domku.

Słońce za nią już dotykało horyzontu, a na sierści czuła delikatny podmuch chłodnego wiosennego wiatru. Wróciła do stada.

Rozdział III

MAŁY CZERWONY CHOCHLIK o niedużych skrzydełkach biegł skalistą drogą pod zasłoniętym brązowym dymem niebem. Przed nim pojawił się ciemny budynek. Wszedł do niego. W środku znajdowała się sala, a na jej końcu podwyższenie, na którym siedział potwór przypominający stwora o nazwie mantikora. Miał ciało lwa o czarnej sierści i szarej grzywie oraz skrzydła nietoperza. Chochlik pokłonił się przed nim.

– Panie, nie znaleźliśmy kryształu.

Lew zeskoczył z podwyższenia i zaryczał.

– Minęły już trzy lata, a wy jeszcze nic nie znaleźliście?! Macie szukać, aż znajdziecie! Przesłuchujcie shirokiny, w końcu któryś nam powie, gdzie go ukryli! Precz! Wracaj na wyspę!

Chochlik wybiegł z pomieszczenia. Drugi stary stworek stojący za lwem zaczął:

– Panie, jeśli można spytać, co zamierzasz potem zrobić?

Cztery lata temu. Gdzieś na pustyni...

Lew w towarzystwie kilku chochlików i ludzi szedł w kierunku owalnego budynku. To był dom pewnej wiedźmy. Weszli do środka. Lew rozkazał swoim sługom zostać na zewnątrz i pilnować wejścia. Znajdowały się tam trzy krzesła i ognisko. Na fotelu obok siedziała ona. Wiedźma była kobietą wyglądającą, jakby widziała narodziny samej Octavii. W dodatku była chyba najbrzydszą istotą na Ziemi. Miała wielki nos i mnóstwo zmarszczek, a na

głowie puszyły się czarne włosy, gdzieś już siwiejące. Jej oczy były czarne jak węgiel.

– Witaj, Koumori! – wychrypiała.

– Skąd znasz...

– Co by była ze mnie za wróżka, gdybym nie wiedziała, jak ci na imię?
– zapytała trochę retorycznie. – Ja jestem Adora. Chciałbyś poznać swoją przyszłość?

– Hmm, wolałbym, żebyś powiedziała, jak mam zdominować świat. – Pokazał jej okazały worek pieniędzy. – Zapłacę.

Wiedźma chwyciła łapę lwa i dźgnęła ją małym sztyletem, po czym pozwoliła, żeby kilka kropel krwi Koumoriego spadło do ognia. Spojrzała w żywioł.

– Na wyspie znajdującej się daleko na wschodzie mieszkają pegazy, które są w posiadaniu pewnego kryształu. Musisz ten kamień wykraść, on da ci życie wieczne. Do tego sprawi, że twoja siła wzrośnie kilkukrotnie.

Lew spojrzał na nią spod byka, po czym zaśmiał się złowrogo.

– Cudownie! Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje!

– Obmyśl strategię, bo konie nie oddadzą ci kryształu dobrowolnie. Jak go już zdobędziesz, to zrób z niego wywar. Zmieszaj go z wodą ze źródła jednorożców i krwią pegaza z tamtejszej wyspy...

Chochlik złapał się za brodę.

– Rozumiem. To niesamowite, że ma on taką moc!

Koumori odchrząknął.

– Ale jeszcze jedno mnie zastanawia – dodał diablik.

– Hmm? – zainteresował się lew.

– Czemu właściwie kazałeś, panie, białym jeźdźcom opuścić wyspę? Mogliby okazać się bardzo pomocni w poszukiwaniach kryształu.

Mantikora warknęła z irytacją.

– Idioto! Przecież to ludzie, a oni są bardzo pazerni. Gdyby dowiedzieli się, jaką moc posiada kryształ, to mogliby się nam przeciwstawić i sami go zabrać!

Diablik aż się skurczył.

– Są... sądzisz, że by nas zdradzili?

– Myślę, że tak by było. Wierne z was stwory, ale macie problem z myśleniem.

Sługus się zarumienił. Po chwili jednak go olśniło:

– Hmm, a co jeśli oni ukryli go poza wyspą Shirokin?

Potwór postukał pazurem o podłogę.

– Tak, całkiem możliwe. – Złapał sługusa za szyję. – Jednak jest z was jakiś pożytek! – Popchnął go. – Leć za nim! Powiedz, żeby szukali też poza wyspą!

– Tak, panie! – Stworek zasalutował i wybiegł na zewnątrz.

– Coś czuję, że w końcu będę musiał sam się tym zająć – powiedział wielki kot sam do siebie.

Lew położył się na legowisku zrobionym z kilku skał i zapadł w drzemkę.

Dobrze jest doceniać wroga! – zawołałem do Juliana i odleciałem. Lecz za nim opuściłem wyspę, zauważyłem nadciągający od południa kolejny statek. Był bardzo podobny do Pięknotki: statku należącego do Herberta, ale jego port jest po zachodniej części wyspy. Po co miałby tu płynąć? Wyglądało na to, że ludzie specjalnie wzięli podobny statek, aby konie nie nabrały podejrzeń.

Obcy okręt jeszcze nie dopłynął, gdy wylądowałem wśród pegazów znajdujących się przy południowym brzegu.

– Uciekajcie! To ludzie! – darłem się do nich.

Jeden z nich przeniósł na mnie wzrok.

– Spokojnie, to tylko Herbert.

– Nie! – Wskazałem łapą na północ. – Stamtąd płyną jeszcze dwa statki. Zastawili na was pułapkę. Głupcy!

Koń zignorował to, spuścił łeb i dalej skubał trawę. W tym momencie statek podpłynął jak najbliżej brzegu. Ludzie w nim wyciągnęli kładkę, po której na piaszczystą ziemię przeszli jeźdźcy. Wydawało mi się, że skądś ich znam. Tak. To prawdopodobnie byli biali jeźdźcy tyrana Koumoriego.

Wzbiłem się w powietrze i ukryłem na pobliskim drzewie, obserwując dalszy rozwój wydarzeń. Ludzie chwyтали konie. Usłyszałem z daleka rzenie innych stworzeń, pewnie atakowanych przez dwunogich z tamtych statków. Chwilę później przyleciał Julian. Chciał rzucić się na jednego z jeźdźców, ale w ostatniej chwili ten zranił go z łuku w nogę. Nie minęło pół minuty, a przybyli inni jeźdźcy i schwytali pegaza. Koń wiał się i miotał, aż w końcu stracił siły i runął na ziemię. Do leżącego ogiera podszedł centaur z sierścią w ciemnobrązowe łaty.

– Witaj, Julianie – powiedział.

Pegaz uniósł głowę.

– Yaro? Proszę, pomóż!

On nie jest sobą, Julianie... – pomyślałem, gdy zobaczyłem coś innego w jego oczach. Coś obcego, jakąś wrogość.

– Czemu miałbym ci pomóc po tym, jak cię schwytałem? – odrzekł.

Julian spojrzał na niego pytająco.

– Ale jak...? Byłeś naszym przyjacielem, żyłeś z nami.

– Tak, ale dzięki naszemu panu zrozumiałem, że bycie okrutnym jest dużo zabawniejsze! – Zachichotał.

Ogier podniósł się.

– Ty zdrajco! Jak możesz...

Yaro zaśmiał się.

– Zdejmijcie mu te liny. Dam ci szansę, możesz mnie zabić! Wtedy wszyscy stąd odejdą. – Zwrócił się do jeźdźców: – Słyszycie? Jeśli mnie zabije, odejdźcie stąd!

Dwunodzy ściągnęli z konia powrozy i pegaz stanął twarzą w twarz z centaurem. Rzucili się na siebie. Nie wiedziałem, jakim cudem Julian chciał wygrać, będąc prawie pozbawionym sił i mając ranną nogę. Najwyraźniej nie wziął tego pod uwagę. W pewnym momencie ogier stanął dęba,

by kopnąć przeciwnika w twarz, ale okazał się zbyt powolny. Yaro zdążył zatem nadziać go na włócznię, którą nosił na plecach.

– A teraz spadaj, durniu! – wychrypiał wróg i rzucił go na ziemię, wyciągając włócznię.

Z przerażeniem patrzyłem, jak mój przyjaciel umiera. Spojrzał na mnie ciemnymi niczym głębia oceanu oczyma, jakby chciał powiedzieć „przepraszam”, i zamknął oczy. Nie mogłem w to uwierzyć. Wiedziałem, że nie dam rady Yaro nawet w postaci tygrysa. Schowałem się głębiej w liściach i zastanawiałem się, co robić.

Zapadła noc. Następnego dnia poleciałem do domku pana Herberta, znajdującego się na wyspie. Nie było go tam. Marynarz i jego statek popłynęli do Miasta Portowego kilka miesięcy temu i widocznie jeszcze nie wrócili. Ruszyłem więc na maleńką wyspę znajdującą się niedaleko, gdyż Yaro i pozostali zrobili sobie bazę w centrum Shirokin i wiedziałem, że powinienem na razie trzymać się od niej z daleka. Mieszkałem na tej wysepce kilka tygodni.

Co jakiś czas odwiedzałem Shirokin. Okazało się, że z Yaro przybyła również grupa walecznych troglodytów i stado diablików. Ludzie, ku mojemu zdziwieniu, gdzieś zniknęli. Yaro oraz jego sługusy postawili wszędzie namioty, a centaur siedział wśród siana w miejscu, w którym wcześniej zwykle spotykali się najważniejsi członkowie stada Shirokin. Pegazy zostały zamknięte w klatkach i za każdym razem, gdy ich odwiedzałem, było ich mniej.

Pewnego dnia znalazłem kryształ – na tej niewielkiej wyspie, na której się zadomowiłem. Gdy tak sobie leżałem, oglądając ruchy fal, zauważywszy odbijające się w nich promienie jesiennego słońca, przypomniało mi się, że wiele lat temu właśnie tutaj ukryliśmy z Julianem tamten niebieski kryształ. Zakopaliśmy go w małej szkatułce. Pomyślałem, że ten przedmiot to zapewne powód ataku na wyspę. Szukają kamienia dla Koumoriego i lepiej, by go nie znaleźli.

Czym prędzej doskoczyłem do miejsca, w którym zakopaliśmy szkatułkę, i zacząłem kopać. Wreszcie ją zdobyłem. Otworzyłem wieko i wyciągnąłem

wisiorek z zawieszonym kryształem w kształcie łyzy w błękitnym kolorze. Kamień opatuląły srebrne skrzydła. Kilkukrotnie obwiązałem sobie naszyjnik wokół szyi. Pomyślałem, że polecę poszukać Herberta. Wzbiłem się zatem w powietrze i odleciałem na zachód.

Wreszcie odkryłem, że mały domek, w którym zamieszkał marynarz, stoi przy miejskim porcie, na skraju miasta, a mój przyjaciel zapragnął zarobić trochę złota, by wyremontować nieco swoją łajbę oraz domek na Shirokin. Jednak wielkie było jego rozczarowanie, gdy powiedziałem mu o ataku na wyspę. Marynarz postanowił pozostać w mieście, a ja postanowiłem zostać razem z nim.

Minęło już osiem lat, odkąd zaatakowano Shirokin. Yaro wzniósł swoją bazę pośrodku polany. Postawił tam drewniany budynek, gdzie przesiadywał godzinami, słuchając narzekania „swoich” podwładnych i popijając nektary z tutejszych owoców. Pomieszczenie zbudowano na planie kwadratu, jego ściany upstrzone zostały otworami mającymi zapewne imitować okna, dzięki czemu do środka wlewało się światło dnia. Ale nie za wiele, w budynku było ciemno. Pod ścianą, naprzeciwko drzwi, stał spory stół oraz kilka marnych krzeseł. Niedaleko mebli leżał Yaro rozwalony na pościeli z siana. Przy budowli w potężnych metalowych klatkach uwięzione były pegazy.

Tymczasem około dwudziestu chochlików uważnie przeszukiwało każdy, nawet najmniejszy skrawek wyspy. Stworek, który przed kilkoma godzinami wrócił od Koumoriego, by zdać mu raport z prac, właśnie przygotowywał centaurovi napój z czarnych porzeczek.

– Pośpiesz się, jestem spragniony! – marudził Yaro.

– Momencik, szefie!

Yaro oparł głowę o dłoń.

– Ech, dasz wiarę, Maksiu, że minęło prawie osiem lat, odkąd tu jesteśmy, a jeszcze nie znaleźliśmy tego kryształu?

– Coś mi się wydaje, że nastąpi to lada dzień. – Stworek ruszył w kierunku centaury z kielichem wypełnionym bordowym napojem w dłoni. – Tymczasem przyda ci się chwila relaksu z moim pysznym soczkiem!

Yaro rozkoszował się napitkiem w milczeniu, gapiąc się w jeden punkt na ścianie, jakby intensywnie o czymś myślał. Nagle gwałtownie się podniósł. Dopił sok i powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Jeśli nie znajdą kryształu, przesłucham kolejnego shirokina! – Ziewnął. – Tymczasem idę na mały spacer. – Pokłusował w stronę drzwi, po czym wyszedł z sali.

Chochlik imieniem Maks jeszcze chwilę gapił się na lekko uchylone drzwi. Prychnął i podszedł do stołu zabrać pusty kielich. Od początku traktuje nas jak służących, pan Koumori powinien z nim porozmawiać – myślał. Umył naczynie w misce i postawił na blacie, aby wyschło.

Stworek wyszedł na zewnątrz. Spojrzał na ogromną klatkę z zamkniętymi pegazami. Mógłbym je uwolnić, mógłbym otworzyć klatki i je wypuścić – rozmyślał. Ale co potem? Koumori będzie mnie ścigał do końca życia. Poza tym nie chcę stać się jego wrogiem, lubię go. Jest okrutny, ale i sprawiedliwy. Nie zabija dla przyjemności. Nie to co Yaro. Oparł się o drzewo i popatrzył na konie. Któryś z was dzisiaj zginie, a ja nie będę mógł nic zrobić, żeby do tego nie dopuścić... Maks zsunął się na ziemię i zapadł w sen.

Kilka godzin później zbudził go straszny rumor. Niebo nabrało koloru złota i czerwieni. Był wieczór. Obrócił się. Spostrzegł, że kilku jego pobratymców wyciąga klaczkę z klatki. Konik miał maść palomino, rudą sierść i białą grzywę oraz ogon. Yaro pochylił się nad nią.

– Witaj, malutka, jak masz na imię?

– Ki... Kirianes – wydukała przerażona.

– Którzy to twoi rodzice?

Naiwna klaczka pokazała kopytkiem.

– Ta kasztanowata to moja mama. Tata nie żyje.

Centaury podniósł się.

– Wyprowadźcie ją!

Grupa chochlików wyciągnęła klacz.

– Na imię mi Kiri. Wypuście moją córkę, ona niczego wam nie powie!

Yaro oparł rękę na biodrze.

– Wiem o tym. – Przystawił dzidę do szyi Kirianes. – Ty mi powiedz albo ona zginie!

– Nie! – Chciała wyrwać się jej na pomoc, ale trzymało ją kilku chochlików.

– Mamo!

Dorośla klacz dała za wygraną.

– Dobra, co chcesz wiedzieć?

– To, co zawsze: gdzie schowaliście kryształ?

Klacz zamknęła oczy, bijąc się z myślami. Chwilę później Yaro zaczął się niecierpliwić.

– Ciekawe, jak smakuje krew twojej córeczki...

Kiri gwałtownie otworzyła oczy.

– No dobra! Kryształ jest schowany na najbliższej wysepce na południe stąd!

Jeden z chochlików się odezwał:

– Nie ma go tam. Przeszukaliśmy najbliższe lądy na południe oraz na zachód od Shirokin.

Centaury dotknęły ostrzem dzidy gardła małej klaczki.

– Może musicie dokładniej przeszukać – pisnęła dorosła klacz.

– Wysłaliśmy na wysepkę, o której mówisz, dziesięciu chochlików. Myślę, że gdyby kryształ tam był, to na pewno by go znaleźli – ciągnął Yaro. – Po tylu latach poszukiwań zacząłem się zastanawiać, czy ktoś nie zabrał kryształu, a teraz jak powiedziałaś, że ukryliście klejnot na tej małej wysepce, a jego tam nie ma... – warknął centaur – jestem już tego pewny! – Uniósł dzidę. – Gadaj, gdzie jest kryształ!

Kiri się zająknęła.

– Uch, dobrze. Jeden z shirokinów stąd uciekł w dniu, kiedy nas zaatakowaliście. To klacz o imieniu Tara. Miała błękitną sierść i złotą grzywę oraz ogon. Możliwe, że ona ma kryształ! – krzyknęła Kiri. – Zostawcie nas!

– Niech będzie. – Yaro zwrócił się do stworków trzymających Kirianes:
– Zabierzcie ją do klatki!

Kiri westchnęła z ulgą.

– Ale z tobą nie skończyłem! – mruknął konio-człowiek. Skutecznie dźgnął ją ostrym końcem dzidy w samo serce.

– Mamusiu! – krzyknęła rozplakana Kirianes.

– Powiedziała ci wszystko! Czemu nie okazałeś jej łaski?! – zawołał Maks, trochę sam się tego nie spodziewając.

– Ja po prostu lubię to robić. – Przystawił dzidę stworkowi do twarzy. – Lepiej uważaj na słowa, bo spotka cię to samo. – Schował broń za plecy, po czym zwrócił się do innego stworka: – Toto, leć do Koumoriego przekazać mu, czego się dowiedzieliśmy. – Starszy chochlik szybko wzbił się w powietrze. Centaur spojrzał jeszcze na Maksa. – Przywiążcie go gdzieś u mnie w sali! To będzie kara za to, co powiedział.

Całemu zajściu przyglądał się Nikki, który wybrał się na swoje małe, cotygodniowe zwiady na wyspę Shirokin. To ciekawe, że Tara uciekła z wyspy. Może jeszcze nie wszystko stracone! – zastanawiał się. Wzbił się w powietrze i odleciał na północ, odwiedzając wcześniej Miasto Portowe i zabierając kryształ z miejsca, w którym kot go ukrył.

Gdy jeden z diablików przekazał Koumoriemu wieść o Tarze, ten ponownie odwiedził wiedźmę Adorę, by poznać miejsce, w którym przebywa klacz. Wyśłał na teren stada Gniadoszy swojego wielkiego ptaszora. Po kilku godzinach ptaszor odnalazł Tare. Ta pasła się z Kami daleko od reszty stada. Gdy poczuła nadciągające niebezpieczeństwo, rozkazała córce schować się za pobliską skałą.

Kami ukryła się i obserwowała, jak ptaszor ląduje naprzeciw Tary.

– Masz na imię Tara, prawda? – zapytał chrypliwym głosem.

– Tak, kim jesteś?

– Oddaj mi kryształ z wyspy Shirokin! Wiem, że go masz! – Zignorował jej pytanie.

Kami śledziła zajście, lecz nie słyszała, o czym rozmawiają. Niepokoiła się o matkę. Ten stwór wyglądał groźnie.

– Nie mam go... – powiedziała Tara.

– Nie podoba mi się ta odpowiedź. Jeśli nie ty, to niby kto go ma? Przeszukaliśmy całą wyspę i jej okolicę. Nigdzie go nie znaleźliśmy.

Jeśli nie ma go na wyspie, to na pewno zabrał go Nikki. Ale nie powinienam o tym wspominać – pomyślała.

– Nie wiem. – I dodała: – Proszę, jeśli wiesz, co się dzieje na wyspie, to mi powiedz!

– Ha, ha, ha! – Zaśmiał się. – Powiem, bo i tak zaraz zdechniesz!

Klacz zaczęła grzebać kopytem w ziemi.

– Powiedz chociaż, co z dowódcą.

– On i wiele innych shirokinów wachają kwiaty od spodu!

Tara cicho zapłakała.

– Co? Jak mogliście?

Ptaszorz zachichotał.

– Spokojnie, zaraz do nich dołączysz. Ale najpierw chcę się dowiedzieć, gdzie jest kryształ!

Po chwili Kami zobaczyła, jak potwór przewraca jej mamę i ją dziobie. Mała klaczka przyglądała się temu ze łzami w oczach. Gdy było już po wszystkim i ptak odleciał, Kami wyszła z ukrycia i podbiegła do leżącej na trawie matki. Ciało klaczy pokryte było licznymi ranami.

– Mamusiu! – krzyczała zrozpaczona Kami.

Tara nie odpowiedziała, tylko lekko uchyliła oko. Spojrzała na córkę i ostatkiem sił się uśmiechnęła.

Ciąg dalszy dostępny w pełnej wersji książki.

Spis treści

Rozdział I	7
Rozdział II	17
Rozdział III	26
Rozdział IV	36
Rozdział V	49
Rozdział VI	58
Rozdział VII	66
Rozdział VIII	78
Rozdział IX	88
Rozdział X	98
Rozdział XI	108
Rozdział XII	118
Rozdział XIII	127
Rozdział XIV	135
Rozdział XV	143
Rozdział XVI	151
Rozdział XVII	160
Rozdział XVIII	171
Rozdział XIX	182
Rozdział XX	191